



Rywalizacja a przyjaźń w nauce

W artykule „Nauka i przyjaźń” („PAUza Akademicka” 435) Profesor Maria Korytowska porusza rzadko podejmowany temat przyjaźni w świecie nauki. Autorka pisze: „Czy nacisk położony na rywalizację, osiągnięcie korzyści materialnych dla uczelni, system grantowy i reguły oceny, nie mówiąc o fałszywej ambicji osobistej wzniesienia się ponad innych, sprzyjają przyjaźni między ludźmi nauki?” Choć formalnie jest to pytanie, odnosi się wrażenie, że ma ono charakter retoryczny, a Autorka uważa, iż negatywne – w jej mniemaniu – cechy współczesnego życia naukowego nie sprzyjają przyjaźni między ludźmi nauki. Na podstawie wieloletnich doświadczeń mam zupełnie inne, bardziej optymistyczne zdanie na ten temat i postaram się je pokrótce uzasadnić.

Zacznę od obiekcji w stosunku do sformułowania „fałszywa ambicja osobista wzniesienia się ponad innych”. Ambicje naukowe są często bardzo autentyczne, a więc prawdziwe. Autorka używa pewnie przymiotnika „fałszywy” w znaczeniu „złe ulokowany”, bądź nawet „moralnie naganny”. Nie zgadzam się z taką kwalifikacją ambicji naukowych. Jeśli nie razi nas sprinter mający ambicję wzniesienia się ponad innych przez zdobycie medalu olimpijskiego (a w tym wypadku to wzniesienie się jest dosłowne: zdobywca złotego medalu staje na podium wyżej od pokonanych rywali), to dlaczego mielibyśmy sarkać na uczoną, mającą ambicję wzniesienia się ponad innych przez rozwiązanie problemu, który okazał się dla jej kolegów za trudny? Taka sportowa motywacja pracy naukowej nie ma, moim zdaniem, w sobie nic złego, pod warunkiem, że współzawodnictwo cechują zasady *fair play*.

Ale wróćmy do podstawowego pytania. Czy ambicje i rywalizacja naukowa przeszkadzają w przyjaźni między naukowcami? Analizę tego problemu trzeba zacząć od przypomnienia ważnego faktu. We współczesnej nauce, a w każdym razie w dziedzinach ścisłych i przyrodniczych, a ostatnio i w naukach społecznych, coraz większą rolę odgrywa praca zespołów naukowych. W informatyce teoretycznej, którą reprezentuję, mniej niż 10% prac ma pojedynczego autora. By oprzeć się na własnych doświadczeniach, w ciągu mojego długiego życia naukowego napisałem prace w sumie z ponad 80 współautorami, zwykle pracując w zespołach 2–4 osobowych. Przez lata z niektórymi z tych współautorów opublikowałem kilkanaście wspólnych prac. W mojej dziedzinie taka sytuacja jest normą. Trzeba podkreślić, że wspólna praca nad rozwiązaniem problemu naukowego to jedna z najbardziej intymnych relacji społecznych, jakie można sobie wyobrazić. Każdy ze współpracowników musi przezwyciężyć naturalny wstyd i obawę przed ośmieszeniem się, kiedy zaproponowany pomysł spotyka się z miażdżącą krytyką kolegów. Ileż razy „wspaniałe rozwiązanie”, które z dumą proponowałem, spotykało się z ripostą kolegi (wypowiedzianą po polsku, po francusku albo po angielsku, bo współpraca najczęściej jest międzynarodowa): „to, co mówisz, to nonsens, bo przecież...” I niestety kolega (niekiedy w wieku mego

syna) miał rację, ponieważ to był nonsens, a żelazna, stosowana przeze mnie, zasada przechodzenia ze współpracownikami na „ty” ułatwiła mu wypowiedzenie tej bezceremonialnej uwagi. Rzadko można lepiej poznać kolegę naukowca niż w czasie wspólnych potyczek z problemem: w tej sytuacji trzeba się obnażyć i podjąć ryzyko, że powie się głupstwo, bez tego ryzyka żadne wspólne rozwiązanie nie powstanie. Dlatego właściwie niemożliwa jest współpraca z kimś, kogo się nie lubi. Wtedy nie można pokonać oporu przed obnażeniem się. W czasie zespołowej pracy panuje równość i każdy stara się dać z siebie jak najwięcej, choć efekt i tak potem będzie wspólny (w mojej dziedzinie jest dobra tradycja umieszczania nazwisk współautorów w kolejności alfabetycznej, więc nie ma sporów o to, kto ile zrobił). Ktoś zapyta czy to sprawiedliwe. Na dłuższą metę tak: choć w trakcie pracy nad danym projektem wszyscy są traktowani równo, to jednak tym mniej aktywnym uczestnikom z biegiem lat proponuje się współpracę coraz rzadziej...

Wspólne porażki, gdy problem „nie puszcza” i (znacznie rzadsze) wspólne triumfy, gdy wreszcie „puści”, stanowią podstawę silnych, rodzących się przyjaźni. Kto nie widział błysku radości w oczach kolegi (w moim przypadku często młodszego o 30 lat), gdy uda się wspólnie uzyskać *dream result*, ten nie zna ważnego aspektu przyjaźni. Ten błysk radości może być czasem związany z ambicją, kiedy (zwłaszcza młodszy) kolega myśli sobie: „ten rezultat otworzy mi drogę do posady na prestiżowym uniwersytecie” albo „ten wynik zapewni mi grant, o który będę się starał w przyszłym roku”, lub nawet, ulegając młodzieńczej *hubris*, „udało nam się rozwiązać problem, nad którym bezskutecznie głowił się mój były promotor”. Cóż jest złego w takiej motywacji?

A rywalizacja? Zespoły naukowe zmieniają skład dynamicznie, w miarę ewolucji zainteresowań ich członków. Pięć lat temu pracowałem z kolegą X i rywalizowaliśmy z koleżanką Y i jej doktorantem Z. Dzisiaj pracuję z młodym niezależnym już uczonym Z i rywalizujemy z jego byłą promotorką Y, która pracuje nad podobnymi problemami. Myśląc o jakimś koleździe szybko zapominam o czasie, kiedy z nim rywalizowałem (i np. kiedy ubiegł mnie w rozwiązaniu jakiegoś problemu), a dobrze pamiętam wloty i upadki w okresach współpracy, i to one budują przyjaźń w ciągu dziesiątków lat znajomości. Te przyjaźnie, zrodzone w bojach naukowych, przenoszą się na niwę prywatną: chodzimy razem na wycieczki po konferencji, dyskutujemy o polityce, bywamy u siebie w domach, pamiętamy wzajemnie imiona dzieci i wnuków. Myślę, że przyjaźń między ludźmi nauki jest możliwa i dość częsta, a rywalizacja i ambicje, indywidualne i wspólne, dodają jej tylko smaku i czynią ją mniej cukierkową, a bardziej ludzką, ludzką w rozumieniu Terencjusza: „Nic, co ludzkie...”, ambicje i walka o granty – również.

ANDRZEJ PELC

Université du Québec en Outaouais, Canada



Dekomunizacji prof. Stanisława Kulczyńskiego ciąg dalszy¹

Kiedy w listopadzie 2017 r. Instytut Pamięci Narodowej wpisał na swoją listę dekomunizacyjną prof. Stanisława Kulczyńskiego, twórcy polskiego środowiska akademickiego we Wrocławiu i wieloletniego rektora tamtejszego Uniwersytetu i Politechniki – we Wrocławiu zawrzało. W obronie jego dobrego imienia stanęła wrocławska prasa, w tym red. K. Kaczorowska z „Gazety Wrocławskiej” i red. B. Maciejewska z „Gazety Wyborczej Wrocław”. Rektor Uniwersytetu prof. A. Jezierski wystąpił w obronie dobrego imienia prof. S. Kulczyńskiego do prezesa IPN dra J. Szarka i do wojewody wrocławskiego Pawła Hreniaka, stanowisko zaś rektora Senat uczelni poparł jednogłośnie. W podobnym duchu występowali też inni, w tym niektórzy byli rektorzy. Nic to jednak nie dało i 8 stycznia 2018 r. wojewoda P. Hreniak wydał „zarządzenie zastępcze”, pozbawiające prof. Kulczyńskiego patronatu nad nadodrzańskim bulwarem i ulicą w Zgorzelcu. Podobnie stało się w Warszawie, Słupsku, Ostrzeszowie i Opolu, a może i w innych jeszcze miastach.

Ale miasto Wrocław i wrocławskie środowisko akademickie nie złożyło broni. Najpierw, bo już 14 lutego 2018 r., Rada Miejska zdecydowała zaskarżyć decyzję wojewody do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, który 10 maja 2018 r. skargę uznał za słuszną i decyzję wojewody uchylił. Co więcej, z inicjatywy prezydenta miasta R. Dutkiewicza Rada Miejska przyznała prof. S. Kulczyńskiemu 26 kwietnia 2018 r. tytuł honorowego obywatela miasta. A z inicjatywy prof. A. Wiszniewskiego, b. rektora Politechniki i b. ministra w rządzie J. Buzka, Senat Politech-

niki nadał imię prof. S. Kulczyńskiego swojej części nadodrzańskiego nadbrzeża, nad którym wojewoda nie ma władzy. Na fali ogólnego poruszenia na fasadzie domu przy alei Kasprowicza 17, w którym prof. S. Kulczyński mieszkał, zawieszono pamiątkową tablicę, a krótko przed wakacjami ukazały się dwie książki: M. Mularczyk, E. Kuźniewski, *Nauka jest treścią mojego życia. Prof. Stanisław Kulczyński – życie i dzieło*, Wrocław 2018 (rzeczowa biografia uczonego i działacza); K. Jasińska, M. Kaczmarek, *Wrocław Kulczyńskiego*, Wrocław 2018 (przypomnienie jego zasług dla Wrocławia). Wojewoda od decyzji WSA się nie odwołał i 14 lipca 2018 r. wyrok uchylający jego zarządzenie stał się prawomocny, co oznacza, że bulwar odzyskał pierwotnego patrona.

Po co jedliśmy tę żabę? Sprawę otworzył IPN i zatonęła ona szerokie kręgi, wracając do punktu wyjścia, w innej już jednak sytuacji. W batalii, jaka się rozwinęła, moralnym zwycięzcą jest miasto i środowisko, natomiast osoba i dokonania prof. S. Kulczyńskiego, wcześniej ginące nieco już w mrokach historii, zostały wspaniale odświeżone i szeroko upowszechnione. I chyba można też powiedzieć, że sama, skądinąd słuszna, idea dekomunizacji została w dużym stopniu skompromitowana przez inkwizytorskie zapędy IPN, podobnie jak swego czasu równie słuszna idea lustracji została skompromitowana przez pewnego ministra. Batalia pokazała też, że dyskusja o sposobach służenia Ojczyźnie powinna obejmować aspekty, o jakich zapewne inicjatorom akcji się nie śniło.

ROMAN DUDA

Profesor Emeritus
Uniwersytetu Wrocławskiego

¹ Por. R. Duda, *IPN dekomunizuje prof. Stanisława Kulczyńskiego*, „PAUza” nr 405 z 7 grudnia 2017 r., L. M. Sokołowski, *Dekomunizatorzy*, „PAUza” nr 407–408 z 21–28 grudnia 2017.

Kwantowe ekscytacje

Z zachwytem przeczytałem w „PAUZie Akademickiej” 435 wiadomość, iż nauka polska zrodziła perłę najczystsza, klejnot przedziwnej urody, w postaci dzieła wprowadzającego fizykę kwantową do psychologii, a w szczególności do resocjalizacji i reedukacji przestępców, dzięki czemu proces ten, z którym – jak dotąd – nasz wymiar sprawiedliwości kiepsko sobie radzi, stanie się radykalnie skuteczniejszy. Zarówno autor książki przedstawiającej tę ideę oraz wspierający ją recenzenci pracują w Polsce (a nie na jakimś zachodnim uniwersytecie), można zatem bez wahania uznać to dzieło za największe osiągnięcie nauki ojczyściej w ostatnich latach. Teraz trzeba tylko, by kompetentny tłumacz udostępnił je uczonym i rządowi na całym świecie.

Doceniając wielkość i oryginalność idei trzeba jednak powiedzieć, że profesor Rudowski nie jest pierwszym, ani jedynym, który mechanikę kwantową twórczo stosuje w tych przestrzeniach myśli ludzkiej, do których samym fizykom na myśl nie przyszło by sięgać. Kilka lat temu

moja powinowata, studentka architektury w Wiedniu, pisała pracę magisterską pod kierunkiem jednego z tamtejszych profesorów. Uczony ów, specjalista od urbanistyki i architektury krajobrazu, lansował pomysł, by przestrzeń miejską kształtować za pomocą fizyki kwantowej. Niestety jego dzieła, pisane po niemiecku, były mi niedostępne. Przypuszczam, że koncepcja kwantowego miasta jest nieco mniej śmiała, twórcza i rewolucyjna niż kwantowa *periekowka dusz* (na początek tylko kryminalistów) w wizji profesora UW, tym niemniej każdy winien czuć podziw dla rozmachu jego myśli. Poproszony o pomoc, usunąłem z pracy tego dziewczęcia wszystkie fałszywe stwierdzenia dotyczące samej mechaniki kwantowej, natomiast w ogóle nie ingerowałem w propozycje kwantowego formowania przestrzeni mieszkalnej. Zapewne tylko konserwatyzm, strach przed wielką ideą i zwykła ludzka zawiść sprawiły, że do dziś Wiedeń nie może chlubić się pięknem kwantowej dzielnicy mieszkaniowej.

Co jest w mechanice kwantowej, że tak ekscytuje ludzi?

LESZEK M. SOKOŁOWSKI

Obserwatorium Astronomiczne UJ

Wzory, przestrogi

Nieczęsto zdarzają się autobiografie, gdzie przewagę stanowią wewnętrzne przeżycia autora, a obraz epoki, w której autor żyje, tworzą odniesienia tych przeżyć do – czasem mało znaczących – faktów.

Trzeba tu powiedzieć, że książka, zmarłej w 2012 roku, profesor Hanny Świdy-Ziemby *Uchwycić życie*¹ nie jest autobiografią w dosłownym znaczeniu. Dominik Czapigo, po śmierci Hanny Świdy-Ziemby, zebrał i zestawiał urywki jej dziennika, listów, wspomnień i nagrań, które miały zostać opublikowane jako wywiad rzeka z Panią Profesor.

Tytuł trafnie oddaje intencje zapisów osoby, która od najwcześniejszej młodości, przeżytej w Wilnie, po ostatni rok życia (z 2012 roku pochodzi opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” wywiad, jakiego udzieliła Justynie Dąbrowskiej), analizowała własne odczucia rzeczywistości, własne postawy wobec świata i ludzi, źródła zapatrywań na rzeczy najważniejsze i ich ewolucję, stosunek do rodziców, przyjaciół, kolegów i mistrzów na studiach socjologicznych, uczniów i nauczycieli w pracy szkolnej.

Wileńskie wspomnienia zawstydzają czytelnika, prezentując godny pozazdroszczenia wzór środowiska uczniowskiego, które nieustannie rozmawiało o tym, co dzieje się w Polsce, a po wybuchu wojny konspirowało w sposób odpowiedni do wieku, ale podporządkowany podstawowym wartościom.

„Już w 1941 roku, takie dzieciaki, kiedy rzucaliśmy chleb sowieckim jeńcom, wiedzieliśmy, że to nie oni, ale enkawudziści są naszymi wrogami. A ci to biedny dręczony lud. Więc trzeba dawać im chleb. Oni się na ten chleb rzucali, rwali go między sobą. Ale to nie było takie niebezpieczne jak pomoc Żydom, bo Niemcy zwykle patrzyli na to przez palce”.

Przyszła Pani Profesor miała wtedy 11 lat.

Od tamtego wileńskiego dzieciństwa wiedziała dobrze, że bolszewicy są wrogami Polski; to sformułowanie powtarza się w książce. W naturalny sposób znalazła się w opozycji demokratycznej PRL-u, publikowała w drugim obiegu wydawniczym, działała w „Solidarności”. W latach 1991–1993 była członkinią Trybunału Stanu. Lektura książki *Uchwycić życie* ukazuje te zaangażowania Hanny Świdy-Ziemby jako najbardziej naturalne konsekwencje wyborów dokonanych bardzo wcześnie i postaw kształtowanych w ich następstwie konsekwentnie, acz nie ślepo.

„I dziś mówi mi Hanka (koleżanka szkolna M.B.): ‘Czuję, że uwierzę. Słyszysz to od rana do wieczora, sama to muszę mówić i w pewnym momencie czuję takie rozdwojenie – rozumiesz? Z jednej strony przejmuję się, chcę, by to znalazło oddźwięk, krzyczę z przekonaniem, z drugiej śmieję się w duchu z siebie i z nich wszystkich. Ale ta druga strona jest już coraz słabsza. Sama przyłapuję się na tym, że chcę ich zwycięstwa, że po prostu jestem po ich stronie! Wiesz, zaczynam znajdować coraz więcej argumentów na ich korzyść, nie widzę strony przeciwnej. (...), ale widzę i czuję, że wkrótce jak mi każą donosić, to też będę. (...). Sama już nie wiem, jak trzeba, co jest dobre, a co złe”.

Jakież to wiarygodne i przejmujące świadectwo przeżyć pokolenia, które wchodziło w odpowiedzialną młodość w warunkach bezwzględnej i natarczywej ofensywy ideologicznej. Zawsze aktualna przestroga.

Problemy polityczne i geopolityczne były przedmiotem rozmów środowiska młodzieży, w którym obracała się także później, gdy po wojnie rodzina profesora Witolda Świdy zamieszkała w Łodzi, a starsza córka – Hanna, została tam dłużej, żeby studiować socjologię u najlepszych wtedy mistrzów, m.in. Józefa Chałasińskiego, Jana Szczepańskiego, Antoniny Kłoskowskiej.

„Uchwycić życie” próbowała w różnych miejscach. Bardzo ciekawe są wspomnienia środowiska nihilistów, złożonego z rozmaitego autoramentu artystów (przeważnie malarzy), odmiennej także proveniencji – niektórzy przybyli do Łodzi, ówczesnej stolicy Polski, wprost z lasu, imponując młodszemu konspiracyjną przeszłością i stałym zagrożeniem aresztowania. Zapalona studentka socjologii nie wytrzymała w tym środowisku długo, zniechęcona dekadencją, niezdolna do nietzscheańskiego „życia poza dobrem i złem”, gdyż rozróżnienie dobra i zła miała mocno i jednoznacznie zapisane w bagażu duchowym wyniesionym z domu, z przedwojennej jeszcze, choć kończącej po wojnie szkoły, z doświadczeń zebranych podczas pracy w łódzkiej fabryce w ramach studenckich praktyk.

Książka Hanny Świdy-Ziemby jest pełnym przekonujących szczegółów obrazem inteligenckiego etosu w jego najistotniejszych cechach. Dziecinna konspiracja w Wilnie poświadcza patriotyzm – niekwestionowany i nieróżnicowany w warunkach ostatecznego zagrożenia. Poddawany bolesnym próbom w powojennych warunkach rozdwojonej świadomości, szczególnie trudnej do zniesienia przez ludzi młodych i wychowywanych w inteligenckich domach do służby wolnej ojczyźnie. Szczerość autorki (nie przygotowywała swoich wspomnień do publikacji), niezwykle skrupulatnie notującej niuanse swoich odczuć, pomaga w formułowaniu ocen przeszłych zdarzeń i osądzaniu ich uczestników.

„Czy jednak mimo całego zła, donosicielstwa, wzajemnej nienawiści i walki o władzę, nie budują się jednak podwaliny socjalistycznej moralności, dumy klasy robotniczej, społecznej odpowiedzialności, szacunku do pracy? Trudno mi to wszystko wypisać, zresztą mi się nie chce. Za dużo tego. Wiem jedno – w każdym kapitalistycznym ustroju żyć byłoby mi trudno. Zbyt dobrze poznałam i rozumiałam wszystkie braki. Lecz i dzisiejszej rzeczywistości nie lubię, tylko że w nią wierzę”.

Dalsza lektura pokazuje, że ta wiara była w głównej mierze młodzieńczym, obejmującym cały doświadczany świat, optymizmem, nie deklaracją ideową.

Na koniec należy się pochwała wydawcom książki, którzy opatrzyli ją fotografiami z rodzinnego archiwum, wyczerpującymi przepisami i aneksami przedstawiającymi dorobek naukowy autorki. Osobną wielką zasługą ma Dominik Czapigo, który materiały biograficzne skomponował w całość poznawczo bogatą i czytelniczo bardzo atrakcyjną.

MAGDALENA BAJER

¹ Hanna Świda-Ziemba, *Uchwycić życie. Wspomnienia, dzienniki i listy 1930–1989*, wybór i opracowanie Dominik Czapigo, Ośrodek KARTA, Warszawa 2018; wszystkie cytaty w artykule pochodzą z tej książki.

Opinie sprzed lat

Profesor Andrzej Białas i ABBA w kilku numerach PAUzy przypomnieli teksty (PAUza 428, 437) i anegdoty (431) oraz książkę Pawła Jasienicy (436), które robią wrażenie, jak gdyby odnosiły się do czasów współczesnych. Sytuacje, których jesteśmy dzisiaj obserwatorami (nie tylko w Polsce), przypominają także mnie uwagi wybitnych ludzi sprzed lat. Ich opinie nie wymagają komentarzy. Może aktualność tych kilku przypominanych zdań kogoś także zainteresuje? A może też ktoś przypomni sobie podobne dawne obserwacje?

Na początek o elicie: profesor Józef Maria Bocheński (1902–1995), filozof, w książce *Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów* pisał:

ELITA. Autentyczna elita to tyle co ogół najwybitniejszych ludzi w danym społeczeństwie, najwybitniejszych pod względem charakteru, wiedzy, inteligencji, zdolności twórczych itd. W tym znaczeniu elita jest przeciwieństwem ludu. Najważniejszym dzisiaj zabobonem odnoszącym się do elity jest przekonanie, że jest ona niepotrzebna albo nawet szkodliwa dla społeczeństwa, że więc należy wszelką elitę niszczyć i nie dopuszczać do jej tworzenia. [...] Społeczeństwo bez elity skazane jest na skostnienie i rychłą śmierć¹.

Kolejne przypomnienie dotyczy reorganizacji i szybkiego wprowadzania zmian. W książce Roberta Townsenda *Jak zdobyć szklaną górę organizacji* przytoczona jest opinia z 60 r. n.e. Petroniusza Arbitra, filozofa rzymskiego (postaci znanej z *Quo Vadis* Henryka Sienkiewicza):

Miałem się później w ciągu mego życia nauczyć, że na ogół skłonni jesteśmy radzić sobie z nową sytuacją poprzez reorganizację; a jest to wspaniała metoda stwarzania pozorów postępu w czasie, gdy naprawdę rodzi się zamęt, marnotrawstwo i demoralizacja².

Przypomnienie dla dyskutantów: bardzo często jesteśmy świadkami zażartych dyskusji na rozmaite tematy. Dyskutanci im mniej kompetentni, tym bardziej są przekonani o swoich racjach.

Może warto przypomnieć opinię starego Żyda z Podkarpacia o tych, którzy zawsze mają rację, podaną przez Czesława Miłosza jako motto jego książki *Zniewolony umysł*:

Jeżeli dwóch kłóci się, a jeden ma rzetelnych 55 procent racji, to bardzo dobrze i nie ma się co szarpać. A kto ma 60 procent racji? To ślicznie, to wielkie szczęście i niech Panu Bogu dziękuję! A co by powiedzieć o 75 procent racji? Mądrzy ludzie powiadają, że to bardzo podejrzane. No a co o 100 procent? Taki, co mówi, że ma 100 procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak³.

Uwagi o sędach i wyborach sprzed ponad 180 lat. W 1831 r. arystokrata francuski Alexis de Tocqueville odwiedził Stany Zjednoczone. Swoje obserwacje wydał 180 lat temu w książce *O demokracji w Ameryce*. Był zwolennikiem demokracji i powszechnych wyborów, ale widział ich słabe strony. Koledzy mówili mi, że przynajmniej pół wieku temu jego książka była obowiązującą lekturą dla studentów college'u w USA. Uderzyła mnie trafność i aktualność zawartych w tej książce obserwacji Tocqueville'a. Może kilka z nich warto przypomnieć.

Tocqueville pisał:

[...] powszechność praw wyborczych nie gwarantuje powierzania funkcji publicznych w najbardziej godne ręce i

Przekonałem się, że ludzie, którzy uważają powszechne głosowanie za gwarancję słusznego wyboru,

oddają się kompletnej iluzji. Powszechne wybory mają inne zalety, ale nie tę⁴.

I także:

[...] jeżeli administracja centralna mniema, iż potrafi całkowicie zastąpić swobodne współdziałanie bezpośrednio zainteresowanych, to sama jest w błędzie lub zamierza wprowadzić w błąd społeczeństwo. Władza centralna, jakkolwiek by była oświecona i przemyślna, nie jest w stanie sama objąć wszystkich szczegółów życia wielkiego społeczeństwa. Nie jest w stanie, ponieważ podobne przedsięwzięcie przekracza ludzkie siły⁵

oraz:

[...] wybieralna władza wykonawcza niepodporządkowana władzy sądowniczej wcześniej czy później albo wymyka się wszelkiej kontroli, albo upada. Tylko sądy mogą spełniać rolę arbitra między władzą centralną i ciałami administracyjnymi pochodzącymi z wyboru⁶.

Amerykanie dali sędziemu prawo opierania orzeczeń raczej na konstytucji niż na ustawach. Innymi słowy, pozwolili sędziemu nie stosować ustaw, które wydają mu się sprzeczne z konstytucją⁷.

W Ameryce żaden urzędnik publiczny nie może być odwołany na podstawie decyzji czysto administracyjnej – urzędnicy są albo powoływani raz na zawsze, albo wybrani na określony czas, którego nie można skrócić. Aby odebrać władzę urzędnikowi, trzeba go osądzić⁸.

[Lud] Jest zawsze skazany na pospieszne osądzanie na podstawie najbardziej widocznych cech. Dlatego właśnie wszelkiego rodzaju szarlatani tak dobrze znają sekret przypodobania się ludowi, podczas gdy często nie udaje się to jego prawdziwym przyjaciółom. Demokracja zresztą nie tylko nie może wybrać ludzi wartościowych, lecz również nie chce ich wybierać⁹.

I dalej Tocqueville pisze:

Podczas gdy naturalne instynkty demokracji sprawiają, że lud nie dopuszcza ludzi wybitnych do władzy, również silny instynkt każe tym ostatnim zaniechać kariery politycznej, w której tak trudno jest im pozostać sobą i uniknąć spodlenia¹⁰.

Można nie zgadzać się z opiniami Tocqueville'a sprzed ponad 180 lat, ale chyba warto się nad nimi zastanowić.

WŁODZIMIERZ KOROHODA

¹ Wydawnictwo Philed sp. z o.o., wyd. III, Kraków 1994, s. 42.

² Książka i wiedza, wyd. II, przełożył Stefan Bratkowski, Warszawa 1976, s. 145.

³ Krajowa Agencja Wydawnicza, wyd. I, Kraków 1989, s. 13.

⁴ Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. I, przełożył Marcin Król, Warszawa 1976, s. 14.

⁵ Tamże, s. 87.

⁶ Tamże, s. 80.

⁷ Tamże, s. 92.

⁸ Tamże, s. 102.

⁹ Tamże, s. 157.

¹⁰ Tamże, s. 158.



Kraków

Kraków – warto wiedzieć

Plewiński, kobiety i teatr

31 sierpnia 2018 roku Wojciech Plewiński – fotografik skończył 90 lat. Z tej okazji Muzeum Historii Fotografii zorganizowało dwie wystawy, spotkanie z autorem oraz wydało album „Plewiński. Na scenie”. Wszystko miało miejsce 15 września w obecnej siedzibie Muzeum, budynku byłej strzelnicy na Woli Justowskiej.

Fot. Marian Nowy



Podczas spotkania na strzelnicy Wojciech Plewiński podpisywał swój album... i robił sobie selfi z młodymi dziewczynami.

Wojciech Plewiński jest klasykiem polskiej fotografii. Absolwent Politechniki Krakowskiej w 1955 roku, jeszcze w czasie studiów zaczął się zajmować fotografią (jeden z wielu, który po

ówczesnej inteligencji. Melchior Wańkowicz w swojej *Karafce La Fontaine'a* pisał że Marian Eile, jest redaktorem naczelnym pisma, które „świetnie postawił”. Innymi słowy: znakomicie skroił. I ten krój spodobał się Polakom. „Przekrój” kupowało się spod lady lub z tzw. teczki, rodzaju prenumeraty, polegającej na nabywaniu kilku gazet jednocześnie. Można też było pożyczyć od życzliwych znajomych. „Przekrój” czytali wszyscy. I nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady. Prasoznawcy (Tadeusz Kupis, Zbigniew Bajka) w pracach wydanych przez krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych szczegółowo przedstawili polski rynek prasowy. W 1961 roku „Przekrój” drukowany był w nakładzie 457 157 egzemplarzy, a po dziesięciu latach było to już – 605 587 egzemplarzy. Wśród czytelników dominowały osoby o wykształceniu średnim i wyższym, ale patrząc na kategorie wiekowe widać, że poza osobami w średnim wieku, byli licealiści i emeryci.

W 1959 dyrekcja Teatru Rapsodycznego poprosiła Plewińskiego, by zrobił dla teatru kilka zdjęć ponieważ, ich znajomy fotograf zachorował. Plewiński wszedł na scenę, zrobił zdjęcia... i tam pozostał. Potem były następne teatry: Stary, Słowackiego, Ludowy, STU w Krakowie, teatry w Warszawie, Wrocławiu, Katowicach, Tarnowie, Chorzowie, Bielsku, Łodzi i Zakopanem. Udokumentował ponad 800 spektakli. Z *Encyklopedii Teatru Polskiego*: „Wśród polskich fotografów specjalizujących się w fotografii teatralnej jest wielu mistrzów tego gatunku, m.in. Benedykt Jerzy Dorys, Edward Hartwig, Grażyna Wyszomirska, Wojciech Plewiński”. Warto w tym miejscu przypomnieć – za wspomnianą *Encyklopedią* – iż



Fot. https://przekroj.pl/archiwum

Okładka „Przekroju” nr 859 z 24 września 1961 roku. „Rzeczy w kratkę”, kolekcja własna. Autor HOFF, pozuje Grażyna Hase. Autor zdjęcia: Wojciech Plewiński.

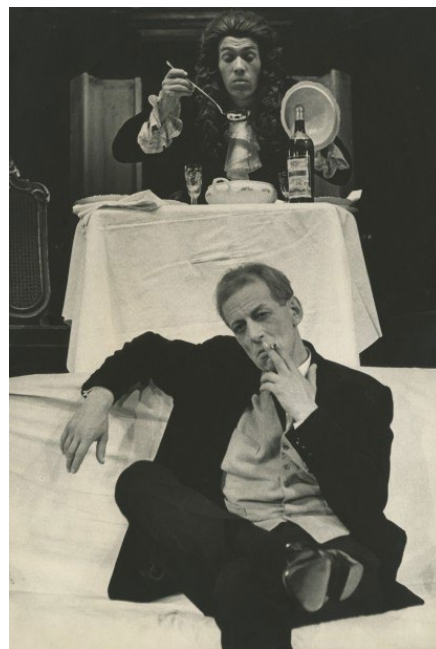
sach siemiężnego PRL-u uchylał rąbka kultury zachodniej, dawał czytelnikowi nieco wytchnienia od szarej, zabarwionej czerwienią rzeczywistości tamtych lat. Miał duży wpływ na kształtowanie się

studiach architektonicznych poszli w stronę sztuki). I nie wiadomo, jak by się potoczyły jego losy, gdyby nie „Przekrój”, z którym związał się w 1957 roku. Starsi Czytelnicy „PAUzy Akademickiej” być może pamiętają okładki „Przekroju”, na których królowały piękne dziewczyny. To dzieło Plewińskiego...

Dlatego wielu osobom Wojciech Plewiński kojarzy się przede wszystkim z „Przekrojem”, kultowym tygodnikiem, który w cza-

w Polsce fotografia teatralna powstała wraz z pojawieniem się tego medium zajmowali się nią m.in.: Karol Beyer, Konrad Brandel, Jan Mieczkowski, Aleksander Karoli w Warszawie; Awit Szubert i Walery Rzewuski w Krakowie oraz Józef Eder i Edward Trzemeski we Lwowie. Zaś pierwszą polską aktorką, która potrafiła świadomie wykorzystać medium fotografii do promocji własnego wizerunku, była Helena Modrzejewska.

A skoro o dokumentowaniu mowa,



Fot. https://przekroj.pl/archiwum

Friedrich Dürrenmatt *Fizycy*. Stary Teatr w Krakowie im. Heleny Modrzejewskiej. Reżyser: Jerzy Jarocki. Scenograf: Andrzej Cybulski. Na zdjęciu: Jan Wilhelm Mobius – Leszek Herdegen, Newton – Ryszard Filipki. Autor zdjęcia: Wojciech Plewiński. Data prapremiery: 6.07.1963.

to dodajmy, że całe artystyczne spotkanie w strzelnicy, poświęcone Wojciechowi Plewińskiemu, dokładnie zarejestrował inny fotografik – Jan Zych (także z Politechniki Krakowskiej).